



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Marian Rokosz

Fragmenty wspomnień

Urodziłem się w rodzinie robotniczej jako trzeci z czwórki rodzeństwa. Mieszkaliśmy na przedmieściu Zawiercia w dzielnicy o nazwie Nowe Zawiercie, które jednak w niczym nie kojarzyło się z czymś nowym. Dzielnica nie była skanalizowana, nie posiadała elektryczności, nie miała ani jednej drogi utwardzonej. Zabudowa była luźna, parterowa, a jedyny dom piętrowy wynajmowany był na trzyklasową szkołę. Do wyższych klas trzeba było chodzić do Zawiercia – oczywiście na piechotę, bo żadnej komunikacji nie było.

Dzieciństwo moje nie było udane, bo w 1932 roku zamiast pójść do szkoły wylądowałem na okulistyce w Sosnowcu (na Lepiankach), gdzie przeleżałem prawie cały rok. Poddany zostałem kilku operacjom, które okazały się nieskuteczne i w efekcie już na zawsze zostałem niedowidzącym. Z tego też powodu w szkole wyśmiewano się ze mnie, bo mimo miejsca w pierwszej ławce nie widziałem co jest napisane na tablicy. Tak było do czasu zrobienia okularów, ale przezwisko zostało do czasu ukończenia szkoły. Bolało mnie to i nieraz się o to przezwisko pobіłem.

O tym, że zbliża się wojna świadczyły w moim otoczeniu pewne przygotowania, takie jak: kopanie rowów strzeleckich, które chodziłem oglądać, intensywniejsze ćwiczenia w „Strzelcu” mojego starszego brata, zbiórki i spotkania organizowane przez Przynsposobienie Wojskowe Kobiet (chodziła na nie w mundurze i z torbą sanitarną moja siostra, komendantka oddziału). Dokładnie jednak nie wiedzieliśmy, kiedy to nastąpi, bo nie mieliśmy w domu radia, a gazeta trafiała się bardzo rzadko. Dlatego też rodzice nie robili żadnych zapasów, zresztą nie mieli na to środków, tak jak większość rodzin robotniczych.

Wojna przyszła z zaskoczenia. W piątek 1 września rano, stojąc z młodszą siostrą na podwórzu, widzieliśmy nisko lecące samoloty. Początkowo myśleliśmy, że to nasze, ale siostra zobaczyła czarne krzyże z białą obwódką, co oznaczało, że niemieckie i że zaczęła się wojna. O wojnie mówili wszyscy, ale jaka ona będzie – tego nikt nie wiedział. Atmosfera była jednak napięta, bo widzieliśmy jednostki Wojska Polskiego wycofujące się w pośpiechu w kierunku Kielc. Niedługo potem wkroczyli Niemcy i jeszcze tego samego dnia przyjechali pod nasz dom dwoma motocyklami z przyczepami. Pytali gdzie są karabiny. Nie miałem pojęcia skąd wiedzieli, że mieścił się tutaj lokal „Strzelca”. Miałem okazję poznać grubiańskie zachowanie hitlerowców, kiedy stwierdzili, że karabinów nie ma, a w budynku pozostały jedynie maski przeciwgazowe, tarcze strzeleckie i jakieś drobiazgi, w tym wyciory. Zabrali więc maski i wyciory. Karabiny były przechowywane w Fabryce Hufnali i Haceli na Borowym Polu.

Nie zapomnę tego roku i pierwszego spotkania z niemieckimi wojskami również dlatego, że w domu nie było wówczas soli. Bez cukru można było się obejść, ale niesłonych ziemniaków i kapusty nie dało

się jeść. Trwało to parę tygodni. Mama jeździła po sól aż do Wieliczki. Radziła sobie dobrze, bo знаła niemiecki, gdyż w czasie I wojny światowej wyjechała na roboty do Niemiec.

Miałem wtedy czternaście lat i przede mną była jeszcze siódma klasa szkoły podstawowej. Niemcy natychmiast narzucili obowiązek nauki języka niemieckiego, który mi się przydał w okresie okupacji. W 1940 roku wprowadzili kartki na różne produkty, na przykład butów na skórze w oficjalnej sprzedaży nie było, a jedynie słynne drewniaki.

Podstawówkę ukończyłem z wynikiem dość dobrym i w domu na pozór nic się nie działo, bo mama pomagała szmuglującym rozprowadzić m.in. mąkę, słoninę lub tzw. rąbankę, masło itp. Granica przebiegała 7 kilometrów od naszego domu, a Zawiercie i okolice zostały włączone do III Rzeszy.

Pod koniec sierpnia 1940 roku mojego ojca zaczęli niejaki Maga, mieszkający po sąsiedzku, kierownik niemieckiego Urzędu Pracy. Znali się, bo przed wojną pracowali w tej samej Fabryce Hufnali i Haceli, z tą tylko różnicą, że on w administracji, a mój ojciec w charakterze robotnika. Choć był Volksdeutschem wyjawiał, że niepracująca młodzież w następnym roku będzie wywożona w głąb Niemiec, do różnych robót i że jest w Poraju miejsce dla ucznia piekarskiego. W rozmowie tej przekonywał ojca, żeby mnie tam posłał, bo dzięki temu będzie mnie miał blisko, a ja nauczę się zawodu. Powiedział, że jeżeli się zdecyduję, to mogę przyjść po skierowanie i książkę pracy. Może wiedział o moich problemach wzrokowych, a może chciał pokazać, że chociaż przyjął obywatelstwo niemieckie, chce nadal żyć w przyjaźni z sąsiadami.

Rodzice przekonywali mnie, żebym skorzystał z nadarzającej się okazji, bo przynajmniej nie zaznam głodu, jak to bywało w latach bezrobocia, gdy bieda wyglądała z każdego kąta. Przypomnieli rok, w którym leżałem w szpitalu w Sosnowcu, a brat w Zawierciu (po ukąszeniu żmii). Nie mieli wówczas na pociąg, więc ojciec pożyczał rower, aby przyjechać do mnie.

Po załatwieniu formalności w Urzędzie Pracy u pana Magi pojechałem do Poraja, gdzie najpierw zrewidowali mnie celnicy, a następnie udałem się do piekarni. Prowadził ją Julian Krzyżanowski, mistrz piekarsko-cukierniczy. Pochodził z Tarnowskich Gór, a prowadzony przez niego zakład był prawdopodobnie żydowski.

Kiedy znalazłem się w piekarni ogarnęło mnie uczucie niepokoju, bo po raz pierwszy byłem poza rodziną i wszystko wokół było dla mnie nowe. I chociaż sam Julian Krzyżanowski w sposób ojcowski przedstawił mi otoczenie oraz zapewnił, że będę na jego pełnym utrzymaniu, a jedynie spać będę z piekarzami, to trochę czasu upłynęło, zanim się z tą sytuacją oswoilem.

O moich obowiązkach poinformował mnie sam majster. Miałem stale utrzymywać pomieszczenia w czystości, wywozić żużel, podpatrywać proces produkcji i wykonywać polecenia piekarzy związane z otaczaniem chleba i bułek. Praca była ręczna, więc mnie do niej dopuszczono. Wyroby cukiernicze, takie jak strucle lub dekorowane torty dla niemieckich dygnitarzy robił sam pan Krzyżanowski, powierzając mi ubijanie piany oraz masy o różnym smaku, a także żółtek z cukrem. Produkty te odnosiłem pod wskazane adresy w Poraju lub zawoziłem, najczęściej do miejscowości Żarki Blok. Zlecenia dostawałem ze względu na znajomość języka niemieckiego.

Nauka jednak długo nie trwała, bo osadnik rumuński – Eugeniusz Kniling – funkcjonariusz NSDAP, który zajął piekarnię Niepiekły, postanowił pozbyć się konkurencji. W 1941 roku Julian Krzyżanowski zmuszony został do wyjazdu do Generalnej Guberni, dzięki czemu Kniling stał się monopolistą na Poraj i rozległe okolice. Wraz z zamknięciem piekarni Krzyżanowskiego stracili pracę piekarze: Ślimak, Mańko, Baran. Natomiast ja pozostałem w zakładzie, już nie jako uczeń, a jako pomocnik (pomogła mi znajomość niemieckiego). Sporo już wiedziałem i potrafiłem samodzielnie wykonać, ale potrzebny byłem Knilingowi nie tylko do przyjmowania zleceń, lecz również do dostarczania białego pieczywa do kantyn żandarmerii i celników. Pszenne pieczywo produkowane było tylko dla Niemców. Dla Polaków produkowano z mąki ciemnej z domieszką mączki sojowej, która wchłaniała bardzo dużo wody.

Mój nowy szef wprowadził pracę jednozmianową po 12 i 16 godzin na dobę, a czasem i więcej, gdy wystąpił zwiększony popyt, co dla mnie było porównywalne do więzienia o zaostrowym rygorze. Obiady przynosiła służąca – Jadwiga Piekarska, dlatego zabrali nam kartki na mięso i mąkę. Pozostawili kartki na margarynę, marmoladę, cukier i chyba mydło. Wykupywałem na nie artykuły na śniadanie i kolację, które sporządzałem we własnym zakresie.

Ciężkie warunki pracy u Knilinga spowodowały, że zacząłem się buntować i zastanawiać nad sposobem odwetu – walki z funkcjonariuszami NSDAP i gospodarką niemiecką. W rozważaniach tych musiałem dobrze przemyśleć z kim wejść w układ, bo możliwości miałem ograniczone dyspozycyjnością.

Powszechnie krążyła opinia, że na kartki można było kupić za dużo żeby umrzeć, ale za mało aby żyć. Racje były głodowe. Dodatek – tzw. „Zusaz” – otrzymywali tylko pracujący, a pozostali członkowie rodzin, jeżeli nie mieli dodatkowego źródła zaopatrzenia – głodowali.

Najpierw zacząłem urabiać i przekonywać piekarzy – Stanisława Krawczyka i Stanisława Mrówkę (pochodzili z miejscowości Chechło), aby zostawiać trochę ciasta żytniego i pszennego, które będzie

można dołożyć do przynoszonych blaszek do upieczenia. Zachowany był tradycyjny zwyczaj pieczenia przynoszonego ciasta w soboty przed południem, gdy piece były wystarczająco gorące, aby upiec więcej niż jedną blaszkę. Udało mi się przekonać tych piekarzy, tym bardziej, że w soboty ich nie było. Na mnie bowiem spoczywał obowiązek uporządkowania zakładu, wyczyszczenia pieca, zrobienia półkwasów i kwasów oraz przygotowania do rozpoczęcia produkcji w każdą niedzielę w południe. Dodawałem tego ciasta, nie pytając dla kogo jest przeznaczone, ani jak się nazywa odbiorca, bo w tamtym czasie lepiej było nie wiedzieć na wypadek wpadki. Moją satysfakcją było to, że niszcę gospodarkę niemiecką i że widzę zadowolony uśmiech rodaczki wynoszącej podwójną objętość upieczzonego chleba, nieraz z dokładką pszennego pod spodem.

Inną formą mojej walki z okupantem było wynoszenie gotowego chleba do określonych rodzin. Uprzednio nawiązałem ścisły kontakt ze służącą Knilingów, panną Jadwigą Piekarską. Miała ona więcej czasu, bo chodziła po zakupy i mogła w torbie wynosić tyle chleba, ile się w niej zmieściło. Współdziałanie z panną Piekarską było bardzo owocne, bo знаła środowisko, rodziny żyjące w biedzie, a także te, których członkowie zostali uwięzieni lub wywiezieni. Wskazywała domy, albo umawiała mnie z poszczególnymi osobami w soboty wieczorem, najczęściej z kobietami, gdyż one były mniej podejrzane. W celu bezpośredniego wynoszenia chleba i przekazywania go rodakom w potrzebie kupiłem skrzypce, bo w futerale można było ukryć parę bochenków.

Dwa razy w tygodniu przyjeżdżali do piekarni właściciele okolicznych sklepów, zabierając 100 – 200 bochenków chleba. Szef wykorzystywał moją znajomość języka polskiego i polecał mi ich obsługiwać. Byli to: Łukasik, Knapik, Ptak, Nietresta i inni, m.in. z miejscowości Kuźnica, Natalin, Kukle. Miałem wynosić po 10 bochenków na wozy lub sanie zimą, a szef liczył ile razy wychodzę. Ja tymczasem zabierałem za każdym razem po 12 sztuk i niosłem je przed sobą jak harmonię. Miałem szczęście, że szef nigdy nie wychodził z domu, aby sprawdzić, ile faktycznie biorę, bo niechybnie razem z właścicielami sklepów zostałbym wywieziony do obozu, a może spotkałoby mnie coś gorszego. Komu przekazywano te nadwyżki chleba – nie wiem, bo nie pytałem. Ważne, że trafiały do polskich rodzin.

Pod koniec 1942 roku uradziliśmy z Jadzią Piekarską, że trzeba być bardziej ostrożnym, bo nasze wycieczki z bochnami chleba mogą wydać się podejrzane i dobrze byłoby podbierać kartki na chleb. Były one w szufladzie w sklepie pod kluczem, ale od czego jest „matka wynalazków”, jeśli występuje potrzeba... Dorobiłem z drutu odpowiednie narzędzie do otwierania zamków i przekonałem Stanisława Krawczyka oraz Stanisława Mrówkę aby pilnowali czy ktoś nie idzie, gdy będę otwierał drzwi i szuflady. Wcześniej ustaliłem też, w które dni szef wychodzi na całe noce w mundurze. Od tego momentu wynosiliśmy z Jadzią mniej chleba, ale dodatkowo kartki na chleb, które podbierałem dość systematycznie. W ostatecznym rozrachunku kartki wracały do sklepu, bo je realizowano, nie zgadzał się tylko bilans mąki zużytej do produkcji.

Pewnego dnia szef wrócił wcześniej niż zwykle i nie zdążyłem zamknąć zamka od szuflady. Moi kompani stojący na czatach tak się przestraszyli, że już chcieli mu powiedzieć, że bawiłem się przy zamku agrafką. Musiałem ich ostrzec, że jeżeli zdradzą, to pójdą siedzieć razem ze mną. Trzeba było milczeć, a w razie czego twierdzić, że szuflada nie została zamknięta. Na szczęście udało się, bo nikt o to nie pytał i mogliśmy nadal pomagać potrzebującym rodakom aż do końca wojny.

W marcu 1943 roku ukończyłem osiemnaście lat, musiałem więc wyrobić sobie Kennkartę. Wcześniej posługiwałem się „palcówką” (Fingerabdruck), którą oddałem, aby otrzymać nowy dokument. Pech chciał, że w tym czasie oparzyłem rękę. Trzeba było jechać do szpitala w Zawierciu, bo w Poraju nic nie mogli pomóc – owinęli jedynie gazą i położyli rękę na temblak. Szef wystawił zaświadczenie, że pracuję w jego zakładzie i udałem się w drogę. Byłem nawet trochę uradowany, że będę mógł się spotkać z rodziną, gdyż Poraja nie opuszczałem od czasu przejęcia mnie przez Knilinga (nie miałem żadnego urlopu).

W Zawierciu (Wartenau) w drodze do szpitala zostałem zatrzymany przez żandarmów na rowerach. Kazali mi okazać dokument. Wyjąłem zaświadczenie od Knilinga, bo nic innego nie miałem i powiedziałem po niemiecku, że „palcówkę” oddałem, aby wyrobić kenkartę. Nie uwierzyli, bo zainteresowała ich moja ręka na temblaku i mój dość gruby portfel. Jeden z nich zdjął karabin, dał mi rower do prowadzenia i kazał iść przodem. Tak doprowadzili mnie na posterunek żandarmerii. Po drodze wypytywali mnie o pieczywo produkowane w Poraju. Na miejscu przesłuchanie prowadziło trzech żandarmów i to w taki sposób, że jeszcze nie odpowiedziałem jednemu, a już drugi zadawał pytanie. Tak w kółko przez kilka godzin. Potem zabrali mi wszystko co miałem w kieszeniach, a także pasek od spodni i zamknęli w celi. Kiedy po kilku godzinach otworzyli drzwi, czekało już na mnie dwóch z kajdankami. Zanim mi je założyli oddali co miałem w kieszeniach i kazali schować do spodni. A było co, bo miałem ponad tysiąc marek, cukierki eukaliptusowe przeznaczone wyłącznie dla Niemców i znalezione rozmówki niemiecko-rosyjskie. Było już pod wieczór, kiedy poprowadzili mnie skutego na Gestapo. Po drodze dręczyły mnie różne myśli. Nie wiedziałem za co mnie zatrzymują. Zastanawiałem się, czy któryś z piekarzy nie sypnął, czy może wpadła Jadzia Piekarska i wszystko wygadała. Powziąłem jednak postanowienie, że jeżeli nie uwierzyli mi, gdy mówiłem po niemiecku, to nie powiem

już ani słowa w tym języku. Gdy mnie prowadzili, spotkałem córkę zawiadowcy stacji, Staszewską. Krzyknąłem do niej, aby powiadomiła moją rodzinę, bo mieszkała po sąsiedzku.

Na Gestapo zaraz po wejściu dostałem po głowie, bo nie zdjąłem kapelusza. Takich szturchańców z epitetami było sporo, zanim zaprowadzono mnie do zastępcy szefa miejscowego Gestapo, Rudolfa Emanuela Schneidera, gdzie dowiedziałem się dlaczego mnie zatrzymano i o co jestem podejrzany. Żandarm, który wręczył Schneiderowi protokół z mojego przesłuchania zameldował, że przyprowadził podejrzanego o przynależność do bandy lub szpiega, bo mówiącego doskonale po niemiecku, z pełnym portfelem marek i rozmówkami niemiecko-rosyjskimi.

Schneider, chłopisko wielkie i barczyste, po pobieżnym przejrzeniu protokołu kazał mnie rozkuć. Podszedł do mnie, zapytał do której bandy należę i prawie równocześnie wałnął mnie w twarz. Nawet nie zdążyłem otworzyć ust. Padłem od tego ciosu, bo łapsko miał odpowiednie do swej postury. Tak było za każdym razem: pytanie, cios i ja na ziemi. Chociaż czułem, że spuchłem jak bania i w uszach miałem tylko szum, starałem się przecząco kręcić głową, bo głos utknął mi w gardle. Jak długo trwało to katowanie i czy pomagali w tym inni – nie wiem, bo straciłem przytomność. Była już noc, kiedy się ocknąłem, zresztą pod wpływem zimnej wody, którą mnie oblano. Poczułem, że jestem mokry, a w uszach mam pełno krwi z okruciami zębów (straciłem pięć). Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że w pokoju nie ma Schneidera i zorientowałem się, że ktoś do mnie mówi. Powoli wracała świadomość. Nade mną stał Ślązak, niejaki Ocylog, który zagadnął do mnie po śląsku: „Czymu się smykosz?” Ja mu po śląsku odpowiedziałem w jakich okolicznościach znalazłem się w Zawierciu z ręką na temblaku. Wtedy też zobaczyłem, że moją ranę sprawdzali, czy nie jest od postrzału. Ocylog powiedział, że to co mówię sprawdzą i jeżeli będzie prawda, to wyjdę, a jeśli nie, to pojedę do Auschwitz. Wreszcie po kilku jeszcze poturbowaniach, bo sprawdzanie trwało dość długo, zostałem wypuszczony.

Po opatrzeniu w szpitalu wyjechałem do Poraja, bo takie dali mi zalecenie przy zwalnianiu z aresztu. Moją siostrę Stanisławę Frycz, która powiadomiona przez Staszewską przyszła wstawić się w mej obronie, gestapowcy bestialsko skatowali, że broni bandyty i bez żadnego sądu wywieźli na kilka miesięcy do Opola. Musieli się z nią źle obchodzić, bo zmarła przedwcześnie.

Pod koniec 1944 roku, gdy po osiemnastogodzinnej nieprzerwanej pracy w piekarni poszliśmy się z kolegami przespać, posądzono nas o sabotaż i wezwano żandarmów. Mnie uznano za organizatora. Nie dano mi dojść do słowa, chociaż chciałem wytłumaczyć, że po tylu godzinach należał nam się odpoczynek. Dostałem najwięcej, a bili gdzie popadnie, bo Polaków potrzebowali tylko do roboty.

Przyszły święta Bożego Narodzenia 1944 roku. W domu szefa nie było słyhać radosnej kolędy, bo cała rodzina pakowała się do wyjazdu. Wyjechali w pierwszych dniach stycznia 1945 roku po cichu i bez pożegnania. Jak się później dowiedziałem, szef zasilił szeregi frontowe. Piekarnia tymczasem nadal była czynna, bo chleb był potrzebny, ale kantyny żandarmów i celników nie zamawiały już dużej ilości pieczywa.

Jednej nocy, było to w okolicy 10 stycznia 1945 roku, wpadło do nas czterech zziębniętych i zmęczonych Niemców. Ogrzali się chwilę, a po paru minutach zabrali po pięć bochenków gorącego chleba i wyszli. To już była wyraźna oznaka ucieczki przed nieprzyjacielem. Rosjanie pokazali się w połowie stycznia, zapytali czy są Niemcy, a gdy dowiedzieli się, że nie ma, pojechali dalej. Zaraz po tym przyszła właścicielka piekarni pani Niepiekło i kazała się wynosić i to w taki sposób, jakbyśmy to my byli winni, że jej zakład zajął niemiecki osadnik. W każdym bądź razie przejęła cały magazyn mąki i soli. Następnego dnia przyszedł na piechotę mój ojciec (30 kilometrów, pociągi nie kursowały, bo tory były zniszczone), bo wiedział jakie przeprawy miałem z Niemcami i obawiał się, że na koniec mogą mi coś zrobić. Ucieszył się więc, kiedy zobaczył mnie całego. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy do domu. Razem z nami zabrali się dwaj piekarze – Krawczyk i Mrówka, bo w większej grupie raźniej i bezpieczniej się szło. I tak szczęśliwie dotarłem do rodziny.